Tadeusz Czajkowski
Brzeg

Pamiętna Wielkanoc

"Pod sąd zdrajców z AK" - pod takim hasłem rozpoczęły się w lipcu 1944 roku represje wobec żołnierzy Armii Krajowej na obszarze "Polski Lubelskiej", a więc bezpośrednio po wkroczeniu na te ziemie Armii Czerwonej i idącej w drugim rzucie - I Armii WP.

W tym samym czasie represje spadły na lwowską AK, a nieco wcześniej dokonała się tragedia brygad wileńskich i batalionów nowogródzkich. Rozbrajano oddziały, ludzi wywożono w głąb ZSRR, część zaś wcielano do wojska. Ci, którzy uniknęli tego losu, musieli znów ukrywać się. NKWD, przy pomocy utworzonego przez PKWN resortu bezpieczeństwa, tropiło ich zaciekle. Ujętych stawiano przed sądami wojennymi Armii Czerwonej, które po procesach (urągających prawu) skazywały ich z reguły na śmierć.

Przesądzony był również los wielu AK-owców, którzy znaleźli się w wojsku. Postanowiono izolować ich w przejściowych obozach internowanych, po czym - korzystając z pomocy NKWD - wywieźć z Polski tysiące kilometrów na wschód, słusznie rozumując, że ludzie ci albo w ogóle stamtąd nie wrócą, albo wrócą w takim stanie, że nie będą już dla władzy ludowej żadnym zagrożeniem.

Jednym z tych obozów, w którym więziono w listopadzie 1944 roku 500 oficerów i podoficerów "zdjętych" z pierwszej linii frontu, był obóz NKWD dla żołnierzy AK w SKROBOWIE k. Lubartowa.

Właśnie ze Skrobowa grupa 48 więzionych tam AK-owców, po rozbrojeniu NKWD-zistów, dokonała 27 marca 1945 r. - w Wielki Wtorek - brawurowej ucieczki z bronią.

Święta Wielkiej Nocy spędziliśmy już na wolności. Ale niemal przez cały Wielki Tydzień uciekaliśmy przed pogonią, brnąc niejednokrotnie po szyję w lodowatej wodzie. Mokra odzież wysychała na nas.

W Wielką Sobotę dotarliśmy do wsi Blizocin, oblanej wezbranymi wodami rzeki Wieprz. Tam spędziliśmy święta. Zakwaterowano nas w wysprzątanych świątecznie izbach, wśród ludzi życzliwych i serdecznych. Niektórzy z nas po raz pierwszy od wielu miesięcy spali w czystej pościeli. Sadzano nas przy suto zastawionych stołach na honorowych miejscach, uśmiechały się dziewczęta, a starsi mężczyźni nie taili swego szacunku dla nas i podziwu. Wiele świąt Wielkanocnych upłynęło od tego czasu, były wśród nich i piękne i bardzo udane, ale tamte pozostaną do końca naszych dni najpiękniejsze.

W poniedziałek Wielkanocny o zmierzchu, po zbiórce pod przydrożnym krzyżem, odprowadzeni przez dziewczęta i miejscową kawalerkę, pomaszerowaliśmy na północ... z powrotem na partyzancki szlak. Ale tym razem nie dowództwo Armii Krajowej nas na ten szlak kierowało.

Do dziś budzi mój najwyższy szacunek postawa ludzi, z którymi zetknął nas los na trasie naszej ucieczki. Wiedzieli przecież kim jesteśmy, widzieli że posiadamy broń, zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli ogarnie nas obława to broni tej użyjemy, co zagrażało i naszym gospodarzom i ich sąsiadom wielkim niebezpieczeństwem i konsekwencjami. A mimo to, a może właśnie dlatego iż wiedzieli kim jesteśmy, ludzie ci pomagali nam jak mogli. Nikt nas nie zdradził, nikt nie wskazał obławie naszego tropu.

A zważywszy, że byli to ludzie prości, ich postawa jeszcze dziś budzi podziw i zmusza do refleksji. Właśnie dziś, gdy tyle skarlenia wokoło...

Józef Adamiak
Ruszów

Wspomnienie o dniu 3 Maja na Podolu w 1939 roku

Dzień ten był piękny i słoneczny już od samego rana. W Chmieliskach (pow. Skałat) panował ożywiony ruch. Wszyscy samorzutnie koncentrowali się przy Domu Ludowym: młodzież szkolna, Strzelcy, Strzelczyki, Strzelczynie, strażacy, “Krakusy” na koniach i furmanki wyznaczone do przewiezienia pieszych na defiladę w Połupanówce, gdzie na górze św. Anny miała się odbyć msza św. Na nabożeństwo to przybyły także wymienione organizacje z Połupanówki i ze Starego Skałatu, ponadto kompania żołnierzy KOP z Baonu Skałackiego oraz mrowie narodu.

Mszę odprawiał ks. biskup Bolesław Twardowski. Po niej odbyła się defilada. Honorowe miejsce na trybunie zajęły władze państwowe.

Po przemówieniu wygłoszonym przez wójta p. Kurzeję - pierwsza ruszyła kompania KOP-u. Wojsko w hełmach prezentowało się groźnie ale pięknie. Za żołnierzami maszerowali Strzelcy w mundurach, prowadzeni przez komendanta kpt. A. Turzańskiego, który jechał na ich czele na pięknym koniu. Następnie maszerowały Strzelczynie, a tuż za nimi w swoich mundurkach Strzelczyki, których prowadziłem osobiście. Byłem wówczas starszym hufcowym. Za nimi szli harcerze, a następnie strażacy. Pochód zamykali konni “Krakusi”.

Pragnąłbym mieć chociaż jedną fotografię z tej uroczystości. Była to ostatnia defilada w przedwojennej Polsce. Jej uczestnicy rozproszyli się po całym świecie. Czas bezlitośnie wykrusza szeregi i niewielu nas już pozostało.

W 1988 roku odwiedziłem z synem Chmieliska i moją, żyjącą tam jeszcze, ciotkę. Chciałem pokazać synowi Miodobory i Podole. I zapłakałem na widok zaniedbania wsi, tak pięknej przed 1939 rokiem. Blachy na dachach sczerniały, okna zatkane szmatami. W kościele znajdowała się rozdzielnia gazu, a krzyż poświęcony uroczyście w 1936 roku - został usunięty,

Smutny, smutny to widok...

Janusz Korzeniowski
Gliwice

Krakowskie wydarzenia 3-cio majowe w 1946 roku

Dotychczas nie udało mi się natrafić na relacje z manifestacji studenckiej w dniu 3 Maja 1946 roku w Krakowie. Brałem w niej udział. Wydaje się, że może być interesujące zrelacjonowanie tych wydarzeń przez naocznego świadka.

We wspomnieniach z czasu wojny podałem (“Głosy Podolan” nr 17/96), iż po powrocie z deportacji do ZSRR przymusowo zmieniłem w listopadzie 1939 r. miejsce pobytu z rodzinnej Romanówki koło Trembowli - na Lwów, gdzie mieszkałem z Matką i starszym bratem do momentu ewakuacji w 1945 roku do Krakowa.

Po ukończeniu I klasy licealnej na lwowskich kompletach tajnego nauczania, w Krakowie uczęszczałem na kurs dla dorosłych w zakresie II klasy w Liceum im. Sienkiewicza. Byłem jednym z najmłodszych uczniów, większość stanowili koledzy mający duże opóźnienia w nauce spowodowane wojną. Niektórzy uczęszczali podczas okupacji do szkół technicznych, a jeden przyszedł z leśnej partyzantki. Maturę zdałem w lutym 1946 r.

W styczniu przyjęty zostałem warunkowo na świeżo otworzony Wydział Elektromechaniczny Akademii Górniczej.

W 1946 roku obchodzenie przedwojennego święta państwowego 3 Maja, a szczególnie jakiekolwiek manifestacje, były zakazane. Natomiast większość młodzieży akademickiej, wychowanej w duchu patriotycznym, nie przyjmowała zakazu do wiadomości. Przechodząc koło uczelni w przeddzień święta, natrafiłem na młodego człowieka agitującego prze-

chodniów do wzięcia udziału w pochodzie, który miał wyruszyć sprzed Akademii Górniczej do Rynku, gdzie mieliśmy wziąć udział we mszy św. w kościele Mariackim.

W rannych godzinach 3-go maja, przy pięknej pogodzie, bardzo liczna grupa młodzieży rozpoczęła pochód. Na czele szedł poczet sztandarowy. W połowie ulicy Szewskiej pochód został zatrzymany, a poczet sztandarowy aresztowany. Po tym incydencie doszliśmy do Rynku zapełnionego już zbitym tłumem. Nie sposób było przedostać się do kościoła. Zatrzymałem się w pobliżu Kamienicy pod Baranami. U wylotu ul. Szewskiej pojawiła się grupa milicjantów na koniach i zamknęła przejście. Postój trwał około godziny. W tym czasie wydarzyły się następujące zapamiętane przeze mnie wypadki.

Z pobliskiego domu padł pojedynczy strzał, chyba z pistoletu. Kto go oddał, nikt nie zauważył. Przypuszczalnie była to jakaś zupełnie nieudana prowokacja. W jakiś czas potem pojawił się od strony wieży ratuszowej, przepychający się przez tłum “krok za krokiem”, duży czarny samochód, używany w tych czasach przez władze. (Nazywano wtedy te samochody “demokratkami”.) Ilu było w nim pasażerów - nie pamiętam. Jeden z nich był łysy, w średnim wieku, wzięto go za Mikołajczyka. Zaczęło się skandowanie: *Niech żyje, Mikołajczyk, Mikołajczyk* itp. Rozentuzjazmowana młodzież zaczęła podrzucać samochód wraz z siedzącymi w nim pasażerami! Nie pamiętam czy była z ich strony jakaś reakcja. Samochód pojechał dalej.

Po godzinie pochód ruszył w kierunku Plant przez Mały Rynek. Podobno milicyjna blokada została przełamana przez dziewczyny, wymachujące bukietami bzu przed końskimi łbami i władza zrejterowała przed nacierającym tłumem.

Pochód posuwał się kolejno koło Poczty Głównej, Dworca Głównego, dookoła Plant. Słychać było skandowanie haseł: *Precz z komuną! Niech żyje wolna Polska! Mikołajczyk, ratuj Polskę!* i in.

W okolicy Barbakanu pojawili się uzbrojeni żołnierze w zielonych mundurach, posuwali się chodnikami równolegle z pochodem, zachowywali się biernie.

Tak doszliśmy do ul. Straszewskiego. W pobliżu Uniwersytetu Jagiellońskiego nadjechał pędem od strony Wawelu wojskowy samochód, wyglądający jak powiększony dżip, i wbił się w tłum ludzi uskakujących panicznie sprzed kół. Za kierownicą siedział oficer sowiecki, a z tyłu na platformie znajdowało się czterolufowe działko przeciwlotnicze, przy którym siedział polski żołnierz. Nie zauważyłem, czy ktoś z pochodu został potrącony lub przejechany. Auto zwolniło nieznacznie i wpadło na drzewo. Pamiętam uciekające przed nim między drzewami dorożki, które zatrzymały się tam by zrobić miejsce dla pochodu. Oficer zaczął krzyczeć na żołnierza przy działku, który na rozkaz otwarcia ognia nie chciał, czy

też nie umiał tego wykonać. Rozwścieczony kierowca doskoczył do żołnierza, zrzucił go na ziemię i sam zaczął strzelać w powietrze.

Pochód został skutecznie zatrzymany, a czoło rozproszone.

Chwilę po tym incydencie słychać było nawoływanie: *Na Wawel! Na Wawel !* a jednocześnie padły strzały karabinowe. Ludzie rozbiegli się w popłochu, na pustej jezdni zobaczyłem (w odległości około 50 metrów) leżącego człowieka, który próbował podnieść się i padał z powrotem na ziemię.

Widok ten był dla mnie sygnałem, że skończyły się "żarty" i trzeba ratować skórę. Przemykając się w kierunku Rynku zobaczyłem w okolicy kościoła św. Anny ciężarówkę, na którą żołnierze ładowali młodych ludzi. Udało mi się tego uniknąć i doszedłem nie zaczepiany do domu przy Starowiślnej.

Na uczelniach krakowskich wybuchł strajk, zajęć nie było do jesieni[1].

Wolny czas poświęciłem, jak i wielu innych studentów, na składanie powielaczowych skryptów, (za co bratniak Akademii Górniczej bardzo skromnie płacił), a także na dokończenie rysunków technicznych, co pozwoliło mi zaliczyć ten przedmiot na I roku Wydziału Mechanicznego Politechniki Śląskiej w Gliwicach, gdzie przeniosłem się na jesieni.

Za podobne 3-majowe manifestacje w Gliwicach, wielu studentów zostało usuniętych z uczelni. Część z nich przyjęto na Politechnikę Wrocławską.

Władysław Kubów
Warszawa

Śledztwo zostało wznowione

Gdy w 1994 roku odsłonięty został w Sośnicy k. Pleszewa pomnik ku czci pomordowanych Polaków w Berezowicy Małej na Podolu, prezentowana była tam również moja książka "Polacy i Ukraińcy w Berezowicy Małej koło Zbaraża". Środki masowego przekazu bardzo nagłośniły tę uroczystość dzięki ówczesnemu ministrowi Andrzejowi Zakrzewskiemu z Kancelarii Prezydenta oraz wicepremierowi prof. Aleksandrowi Łuczakowi.

[1] Według innych źródeł strajk nie był proklamowany, a na niektórych uczelniach krakowskich zajęcia, ze względu na bardzo liczne aresztowania studentów, zostały czasowo przez władze uczelni zawieszone. (Przyp. red.).

Po tych uroczystościach otrzymałem list z Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu, Okręgowej Komisji w Krakowie z prośbą o udostępnienie mojej książki, ponieważ nie ma jej na rynku księgarskim. Komisja bowiem zajmowała się właśnie zbrodniami popełnionymi na terenie woj. tarnopolskiego.

Wysłałem nie tylko książkę, ale również listę około stu nazwisk z adresami żyjących jeszcze świadków zbrodni UPA w Berezowicy, rozproszonych po całej Polsce.

Oddelegowany do Komisji prokurator wojewódzki, mgr Włodzimierz Konarski spowodował, że prawie wszyscy świadkowie znajdujący się na owej liście zostali przesłuchani przez prokuratorów rejonowych. Wielu moich rodaków najadło się przy tym strachu, ponieważ wezwanie przez prokuratora bardzo ich zaniepokoiło. (Napisali mi o tym w listach). Ja przesłuchany zostałem w Warszawie w Prokuraturze Generalnej.

Gdy prosiłem Okręgową Komisję w Krakowie by mi udostępniono zeznania berezowiczan, ponieważ chciałbym je wykorzystać w pisaniu kolejnej książki, dyrektor mgr Ryszard Kotarba zawiadomił mnie 17 lipca 1996 r., że wszyscy świadkowie z Berezowicy zostali przesłuchani. Ponieważ jednak śledztwo toczy się nadal, materiały nie mogą być udostępniane na zewnątrz. Wykorzystywane będą przez Komisję do celów naukowych. Przepisy prawne nie pozwalają też na wykonanie kserokopii akt i udostępnienia ich w czasie prowadzonego śledztwa.

W lipcu 1998 r. odwiedziłem osobiście Okręgową Komisję w Krakowie, gdzie - nowe już - kierownictwo poinformowało mnie, że akta przekazywane są do Komisji Okręgowej we Wrocławiu.

W styczniu 1999 r. działalność śledcza została zawieszona do czasu powołania INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ.

5 kwietnia 2001 r. Instytut Pamięci Narodowej - Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu we Wrocławiu - powiadomił mnie, że prokurator Lilianna CIEPŁOCH postanowiła *podjąć śledztwo w sprawie zbrodni* ***ludobójstwa,*** *popełnionych w latach 1940-1945 na terenie b. powiatu Zbaraż w woj. tarnopolskim przez nacjonalistów ukraińskich na szkodę obywateli polskich, tj. przestępstwo z art. 118 § 1 i 2 k. k. - zawieszonego 29 stycznia 1999 r. Stosownie do art. 100 § 2 kpk. odpisy postanowienia zostały doręczone 80 osobom pochodzącym z pow. zbaraskiego, z tego 44 osobom z Berezowicy Małej*.

APELUJĘ zatem do Czytelników “Głosów Podolan”, aby podawali nazwiska i adresy żyjących świadków zbrodni ludobójstwa w woj. tarnopolskim na adres:

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu,
ul. Tkacka 6/8, 54-138 Wrocław.

Od Redakcji

Władysław Kubów wydał ostatnio następujące książki:

1. “Zbrodnia UPA w Berezowicy Małej koło Zbaraża” W-wa 2001, str. 101,
2. “Mikołaj Mieczysław Mieszko - kapłan i społecznik (1882-1961)” W-wa 2001, str. 45.

Tadeusz Z. Błażyński
Anglia

Zachodnim szlakiem (przez obozy jenieckie) Cz. III.

Przystosowanie do nowych warunków życia było naszym najbliższym, natychmiastowym celem. Grupa "Żbika" zadomowiła się razem w jednej z "ulic" między rzędami prycz. Mój notatnik zawiera następującą listę: plut. z cenz. Stanisław Wiśniewski "Wist", kpr. z cenz. Marcin Czerwiński "Smugon", kpr. Stefan Bogdanowicz "Malicki" (†), kpr. Jerzy Bieńkowski "Rudzki" (†), kpr. Kazimierz Kowalski "Suryn", bomb. Henryk Szarras "Sulima", bomb. Wacław Twarowski "Bochenek" (†), bomb. Wojciech Psarski "Kowalski", kan. Jerzy Różycki "Soplica", kan. Ryszard Dzwonnik "Kazan", kan. Zbigniew Martyński "Gruda", kan. Ryszard Głuchowski "Jaworzak" (†), no i ja.

Dzień rozpoczynał się o 7-ej rano przydziałem Ersatz kawy. Apel był o 8-ej. Kolumna formowała się na głównej ulicy obozowej, po czym nasz Feldwebel i dwaj jego pomocnicy rozpoczynali wysiłek liczenia obecnych. W międzyczasie komendant dostarczał listę chorych w baraku, i ta z kolei była sprawdzana. Batalion otrzymywał komendę "baczność" - zwykle ignorowaną - i Oberst Kadelke majestatycznie odbierał raport swoich podwładnych. Zazwyczaj poprostu salutował i odchodził, ale czasem zwracał się do nas z jakąś informacją, która była tłumaczona przez Dolmetschera.

Gdy pogoda była sprzyjająca i dłuższe stanie na apelu nie sprawiało nikomu trudności, organizowaliśmy "szuflowanie"; w czasie liczenia środkowy lub tylny szereg przesuwał się w stosunku do innych tak wolno, że liczący nie był tego świadom. Biedny Feldwebel kończył liczenie mając np. sześciu za dużo. Ponowne liczenie mogło wykazać, że brakuje trzech. Zabawa ta trwała do momentu, gdy liczący dostawali ataku histerii, my byliśmy znudzeni, albo gdy Oberst Kadelke purpurowiał na twarzy do poziomu apopleksji.

Powrót do baraku odbywał się przy udziale (zwykle) poirytowanych wartowników, szukających ludzi do oddziałów pracy w obozie albo na zewnątrz. Konwencja genewska zwalniała od przymusu pracy oficerów i podoficerów, ale czasami zgłaszaliśmy się na ochotnika, aby po prostu wyjść na parę godzin za druty.

Charakterystyczne cechy tych dni to nuda, zwiększający się głód i zimno. Obiad to zupa z brukwi - główny posiłek dnia, w której bardzo

rzadko pływał niewielki kawałek mięsa. Żartowano, że dzienny przydział mięsa na obóz 15.000 jeńców składał się z jednego starego konia.

Pracujące grupy wracały do obozu po południu, przynosząc to co udało się im “wyszabrować” i przemycić, dostarczając wiadomości o szerokim świecie, które zebrano u Wachmannów i spotykanych jeńców innych narodowości. W tym czasie zarówno Francuzi jak i Brytyjczycy posiadali nielegalnie dobrze ukryte radia.

Wieczorny apel odbywał się o 17-ej, i kotły z “kawą” oraz racje chleba przynoszone były z kuchni.

O 19-ej nasz własny wieczorny apel kończył dzień.

□. . . .□. . .□

Na tragedię nie trzeba było długo czekać. Sprowokowało ją, już w parę dni po przyjeździe, nawiązywanie tradycyjnej przyjaźni polsko-francuskiej. Wzdłuż dzielącego nas płotu zebrały się grupy mówiących po francusku, prowadzono rozmowy oraz “handel” z tłumem francuskich żołnierzy przebywających w Pongau od 1940 roku. Zaniepokojony tym Wachmann na wieży zaczął coś wykrzykiwać, na co jednak rozmawiający nie zwrócili uwagi. Z wieży padł strzał.

Śmierć naszego żołnierza i spowodowana tym rewolta polsko-francuska sprowadziły uzbrojony niemiecki pluton, który na siłę wepchnął nas do baraków.

Komendant i MZ zażądali natychmiastowego spotkania z Oberstem Kadelke, który wyrażając ubolewanie, odmówił powołania komisji do zbadania incydentu. Odpowiedzialny strażnik zniknął jednak bez śladu.

Gniew spowodowany morderstwem przybrał takie rozmiary w całym obozie, że Kommandantur - wydając oficjalny komunikat wyrażający żal za “wypadek” - zezwoliła na pogrzeb z honorami wojskowymi. Poza naszą, Kompania Honorowa złożona była z jednostek brytyjskich, francuskich, serbskich i włoskich. Francuski kapelan prowadził pogrzeb i odprawił egzekwie.

□. . . .□. . .□

Zima przyszła niespodziewanie w pierwszych dniach listopada, gdy w ciągu jednej nocy spadł głęboki śnieg i odciął nas zarówno od jedynej pompy, jak i od porannego apelu. Zimno w baraku zostało w pewnej mierze uśmierzone przez wydanie nam holenderskich drewnianych sabotów, chroniących stopy od betonowej podłogi oraz przez dostarczenie ciemno-zielonych ciepłych mundurów, pochodzących z magazynów nie zidentyfikowanej nigdy armii.

Zbiegło się to z otrzymaniem blankietów korespondencyjnych i paczkowych. Wysyłanie korespondencji stało się dla warszawian problemem. Miasto nie tylko zostało w dużej mierze zburzone ale wiadomo było, że ludność została ewakuowana. Szukano więc gorączkowo pozawarszawskich adresów, na dodatek w strefach nie objętych akcją wojenną. Napisałem do kuzynki w Zakopanem dopytując się o los Matki i prosząc o paczki żywnościowe, które stawały się absolutną koniecznością. Dokupienie w obozie żywności - głównie chleba i ziemniaków - było możliwe ale tylko gdy posiadało się jedyną przyjmowaną powszechnie walutę, to jest amerykańskie papierosy. W listopadzie 1944 r. 1 kg czarnego obozowego chleba kosztował 12 papierosów. Była to poważna suma i osiągalna tylko dla posiadaczy paczek Czerwonego Krzyża. Obowiązywało prawo podaży i popytu, a “giełdowe” notowania wartości “waluty” były znane. Ceny spadały przy braku paczek, rosły gdy rynek był zalany papierosami. Źródłem dodatkowej żywności byli Wachmanni.

□. . . .□. . .□

Któregoś dnia zgłosiłem się na ochotnika do pracy. Uzbrojeni w łopaty i kilofy, eskortowani przez wojaka z muzealnym Manlicherem, pomaszerowaliśmy przez Północny Obóz koło osobnego obozu sowieckiego - do lasu nad Salzachem. Praca - kopanie grobów na obozowym cmentarzu. Wynik - prawie zerowy przy głębokim śniegu i zamarzniętej ziemi, ale raz jeszcze wgląd w mentalność i praktykę niemiecką.

Cmentarz posiadał parę francuskich i serbskich grobów, dwa lub trzy brytyjskie, żadnych włoskich, jeden bardzo świeży polski i masowy 4.500 żołnierzy sowieckich. Francuzi dostarczyli wyjaśnienia. Na wiosnę 1944 r. i tak już zagłodzonych jeńców sowieckich nawiedziła epidemia tyfusu. Izolacja ich obozu była całkowita, a skąpe racje żywnościowe rzucane były podobno przez druty. Obóz sowiecki prawie wymarł i jego obecna załoga to już nowi przybysze.

□. . . .□. . .□

Z dodatkowych, brązowych niemieckich koców dostarczonych przez Kommandantur, uratowaliśmy kilka by oddzielić nimi część baraku i zamienić ją na kaplicę. Biały tekturowy krzyż na ścianie (na który materiał dostarczono oficjalnie) i składany stół nakryty jeszcze jednym kocem, służący jako ołtarz, stworzył mały kąt spokoju.

Pierwszą mszę św. odprawił młody kapelan francuski, dla którego ten stół i niezbyt czysty koc stały się nagle wielkim ołtarzem w Notre Dame.

□ . . . . □ . . . □

We wtorek 14 listopada po porannym apelu i w myśl taktyki zaskoczenia, rozkaz wyjazdu dla 150 polskich jeńców wraz ze mną. Kierunek nieznany.

W trzaskający mróz ładujemy się późnym popołudniem do niemieckich (tym razem) wagonów towarowych, po dwudziestu na wagon. Miejsca dużo jak na sali balowej, ale żelazne blachy podłogi i ścian wagonu zmieniają go na lodownię. Ostatnie spojrzenie na bielące się szczyty Tannengebirge na tle ciemnego granatu nieba. Drzwi zasuwają się z łoskotem i znajomy już szczęk kłódek przypomina ponownie o rzeczywistości.

W wagonie jest tak zimno, że siadanie na pewien czas poza niewygodą jest wręcz niebezpieczne. Wędrujemy więc po wagonie aby utrzymać krążenie krwi, a że jest już ciemno, zderzenia są częste ale dobrodusznie przyjmowane. Przy okazji przedstawiamy się nawzajem, jako że jest to zespół obcy sobie. Jestem tu jedynym AK-owcem choć wiem, że Marcin Czerwiński znajduje się w innym wagonie. W końcu ktoś proponuje byśmy stworzyli "węża" i poruszali się wzdłuż ścian unikając w ten sposób zderzeń.

Zaczynamy więc "tańczyć" do taktu marszów wojskowych, których słowa są znane tylko w tych sferach i w druku się nie ukazują.

Czas płynie powoli. Przerwa na kolację czyli chleb otrzymany w obozie i wreszcie znużeni powoli milkniemy. W nocy robi się później zdecydowanie ciepło i sen przychodzi. Budzi nas łoskot otwieranych drzwi.

Na zewnątrz ciepły, mokry jesienny dzień. Wolfsberg w Karyntii.

□ . . . . □ . . . □

Po Pongau - Stalag XVIII A w Wolfsbergu mógł uchodzić za obóz wypoczynkowy. Drewniane baraki z małymi pokojami, w nich dwie lub trzy prycze, zupełna swoboda poruszania się wewnątrz obozu i, o dziwo! normalne choć wciąż niewystarczające posiłki. Niemiecki komendant wyraził nadzieję, że czas "przyjemnie" nam tu zejdzie.

Obóz zorganizował wieczorne zebranie starszych stopniem podoficerów. Okazało się, że mjr Drzymulski mianował Mężem Zaufania st. strz. "Gospodarza", którego "wybór" wobec tego zatwierdziliśmy. On z kolei mianował mnie sekretarzem zebrania. Protokół przetrwał wojnę i znajduje się obecnie w Muzeum AK w Warszawie. Widzę z niego, że kwatermistrzem został st. sierż. "Jad" (mówiący po niemiecku), zastępcą plut. "Wacław", a zastępcą komendanta st. strz. "Hiszpan".

Cierpię wyraźnie na amnezję "komendancką", bo i tu nie pamiętam pseudonimu, a co dziwniejsze, nie ma o nim wzmianki w protokole! Zasady konspiracji wciąż jeszcze być może podświadomie działały, jak widać z faktu braku nazwisk.

Zebranie zakończyło się ogłoszeniem wyroku Sądu Honorowego w Pongau (fakt mi nieznany), udzieleniem nagany st. sierż. pchor. "Bajbusowi" za jego zachowanie się (niesprecyzowane).

Baraki, w których nas rozmieszczono były po-francuskie (obóz francusko-brytyjsko-włoski) i poprzednicy zostawili sporą bibliotekę, którą objąłem "po awansie" na bibliotekarza. Pracy to nie przyczyniało, skoro poza Marcinem Czerwińskim i kilku innymi, znawców języka francuskiego nie było. Mój jedyny większy obowiązek bibliotekarza związany był z rozprowadzeniem dużej ilości kopii Nowego Testamentu z przedmową Piusa XII do jeńców polskich, które dotarły do nas z Watykanu.

Idylla jednak nie trwała długo. Paru polskich jeńców zostało przyłapanych na próbach handlu z obsadą niemiecką, w rezultacie czego zostaliśmy ukarani zbiorowo przez usunięcie z właściwego obozu do ponurych tzw. karnych baraków leżących poza nim.

Marcin, najwyraźniej niezdrów, znalazł się wkrótce we francuskiej izbie chorych, gdzie nawiązał przyjacielskie stosunki z lekarzami. Zaproponowali mu pracę, a za jego wstawiennictwem również i mnie. Oznaczało to przeniesienie się do obozowej izby chorych. Pertraktacje były w toku gdy - znów niespodziewanie - w niedzielę 10 grudnia dano nam godzinę czasu na zapakowanie się i odmarsz na stację. Powrót do Pongau.

Dwa tygodnie później, brytyjskie bombowce RAF zaatakowały w nocy zbiornik ropy na przedpolu obozu, zabłąkane bomby spadły również na teren obozu i izba chorych została częściowo zburzona. Byli zabici i ranni.

c. d. n.

Tadeusz Błażyński - Anglia
Jerzy Stoszek - Warszawa

Sąd Okręgowy II Rzeczypospolitej w Czortkowie
Cz. III

Zespół sędziowski w Czortkowie był silnie związany z miastem i regionem. Sędziowie nie tworzyli zamkniętej, odizolowanej grupy zawodowej, przeciwnie - wielu z nich obok absorbującej pracy w Sądzie brało

czynny udział w przedsięwzięciach społecznych, mających znaczenie dla rozwoju miasta i jej mieszkańców.

Jedną z tych inicjatyw zrealizowano w ramach Towarzystwa Szkoły Ludowej. Utworzono i oddano do użytku polskie Gimnazjum Kupieckie, placówkę przygotowującą profesjonalnie młodych ludzi do ekonomicznej rozbudowy miasta i całego regionu. Bardzo aktywnie uczestniczyli w tej inicjatywie sędziowie: J. Isakiewicz, F. Schäfer- naker i B. Wiśniewski.

Inne cenne działanie realizowane było w Towarzystwie Opieki nad Młodzieżą (TOM). Tzw. Biały Krzyż - była to organizacja sędziowsko-prokuratorska, powołana w celu wczesnego zapobiegania przestępczości młodocianych, a gdy doszło już do przestępstwa i wyroku sądowego - do zajmowania się losem skazanych w czasie odbywania przez nich kary.

Jako przewodniczący miejscowego oddziału TOM działał prezes Witold Błażyński, utrzymujący bliski kontakt z Dominikanami, którzy pełnili funkcje katechetów szkolnych. Sędzia Błażyński był również współorganizatorem Klubu Polskiego, który rozpocząć miał działalność kulturalną od jesieni 1939 r. w nowowybudowanym przez klasztor domu.

Sędziowie, prokuratorzy i personel urzędniczy Sądu udzielali poparcia także innym organizacjom społecznym, jak Liga Morska i Kolonialna, niektórzy działali w Towarzystwie “Sokół”, prokurator Jan Malawski jako harcmistrz w ZHP.

Ważnym działaniem społecznym były również kontakty i współpraca z garnizonem Korpusu Ochrony Pogranicza. Prowadził ją prezes Błażyński. Organizował zbiórki świąteczne na upominki dla żołnierzy, spotkania społeczeństwa z wojskiem, fundowanie sztandarów dla jednostek. Był to wyraz nie tylko potrzeby rozwijania związków między ważnymi filarami państwa, ale również sympatii, jaką cieszyła się w społeczeństwie Brygada KOP “Podole”.

Popularna była także wśród sędziów koleżeńska akcja wspierania młodych kolegów-aplikantów, którzy jeszcze nie otrzymywali pensji. Sędziowie przychodzili im z pomocą w formie składki, która stanowiła rekompensatę za wykonywane dla Sądu czynności. Nie należało również do rzadkości zapraszanie do domów na rodzinny obiad, co przyczyniało się do umacniania koleżeńskiej atmosfery w całym zespole. Przewodził w tych kontaktach wiceprezes Kuczkiewicz, człowiek bardzo towarzyski, otwarty i elokwentny, co nie było bez znaczenia dla przyszłych sędziów.

Hobby niektórych stanowiły polowania. W tej dziedzinie celował (dosłownie i w przenośni) również sędzia Kuczkiewicz, a wśród młodszej generacji A. Darocha.

Tak życie Sądu przeplatało się z życiem tego miasta nad Seretem, które zasługiwało na miano “małej ojczyzny”. Mimo bliskości wschodniej granicy państwa, nie odczuwało się w Czortkowie atmosfery zagrożenia

czy niepewności, a symptomy ogólnej sytuacji międzynarodowej nie budziły jeszcze grozy. Chociaż jakby przeczucie nadchodzącej tragedii wyraził w swym przemówieniu prezes Błażyński w 1938 roku, na akademii w sali "Sokoła" w rocznicę 11 Listopada. Mówił o *złowrogich kolorach u naszych granic: białym - reprezentującym hitlerowskie Niemcy i czerwonym - komunizm w Związku Sowieckim. Kolorach tak nam drogich - gdy połączone, a tak wrogich same w sobie.*

Późny sierpień 1939 roku zmienił zupełnie atmosferę w mieście. Pracownicy sądowi widziani zwykle z teczkami akt, spieszący korytarzami do sal rozpraw, pojawili się nagle w mundurach i bronią boczną u pasa. Porucznicy Krzechlik, Pająk, Malawski, aplikanci i asesorzy teraz porządkowali gorączkowo materiały w swoich biurkach, aby je przekazać starszemu pokoleniu.

Atmosfera, choć zupełnie inna była jednak optymistyczna. Wojna - krótka i zwycięska - oraz szybki powrót do normalności wydawały się oczywiste.

Na dzień czy dwa przed 1 września opustoszały biura i korytarze sądu oraz drugiego piętra gmachu, na którym mieściło się Dowództwo Brygady KOP "Podole". W dniu ogłoszenia powszechnej mobilizacji prezes Błażyński otworzył zapieczętowane dokumenty, przesłane mu na wiosnę przez Ministerstwo Sprawiedliwości. Sam mianowany szefem Sądu Polowego w Brześciu nad Bugiem, oczekiwał dalszych rozkazów pozostając czasowo w Czortkowie.

Wybuch wojny nie przerwał pracy Sądu. Przy zmniejszonym personelu funkcjonował jak dotychczas. Mimo coraz bardziej alarmujących wiadomości o przebiegu działań wojennych, zajmowania coraz większych połaci kraju przez Niemców, rosnącej fali uchodźców spływających przez Czortków w kierunku Rumunii, wszyscy trwali na swoich stanowiskach do końca.

W niedzielę 17 września rano, po otrzymaniu meldunku o przekroczeniu wschodniej granicy przez wojska sowieckie, prezes Sądu polecił wypłacić trzymiesięczne pensje wszystkim pracownikom.

W południe Sowieci byli już w mieście.

Wspomnienia o Ojcach

A. Marii **HODOLY** (Warszawa) - córki sędziego Józefa Isakiewicza

Ojciec urodził się w Kutach, w rodzinie ormiańsko-polskiej. Dziadek mój Kajetan Isakiewicz był potomkiem ormiańskich emigrantów, osiadłych dość licznie w tych stronach. Babka - Maria Szybalska h. Prus - pochodziła z miejscowej drobnej szlachty. Jedność kościołów, ormiań-

skiego i rzymskokatolickiego, sprzyjała szybkiej asymilacji w ówczesnej Galicji.

Ojciec ukończył szkołę średnią w Stanisławowie, prawo studiował we Lwowie. Praktykę sędziowską rozpoczął w Sądzie Grodzkim w Czortkowie. Tam poznał i poślubił w 1908 roku nauczycielkę muzyki, Zdzisławę - córkę Włodzimierza Grodzkiego h. Belina i Bronisławy Przysieckiej h. Nowina.

Teść mego ojca był wnukiem powstańca, uciekiniera z Litwy. Pracował na stanowisku kierownika szkoły rolniczej w Jagielnicy. Wraz z moim Ojcem kupili wspólnie dom w Czortkowie przy ul. Sadowskiego 22, gdzie młoda para mieszkała do I wojny światowej.

Równolegle pełnił szereg funkcji społecznych m. in. skarbnika Towarzystwa Szko-ły Ludowej, działał w Towarzystwie "Sokół" oraz w akcjach charytatywno-społecz-nych. W latach około 1931 - 1932 pełnił funkcję Komisarza Miasta w czasie vacatu stanowiska burmistrza[2].

Na tym stanowisku, a także jako sędzia przestrzegał ściśle równego traktowania wszystkich obywateli, bez względu na ich narodowość czy wyznanie, status społeczny czy orientację polityczną. Wysoki stopień poczucia sprawiedliwości i odporność na jakiekolwiek naciski, zyskały Ojcu szacunek ludności trójnarodowego i trójwyznaniowego miasta.

Po 17 września 1939 r. przerwał pracę w Sądzie i żył z zapasów i pomocy, pracującej jako księgowa, córki Marii. Po wkroczeniu do Czortkowa wojsk niemieckich powołano Sąd, w którym powrócili do pracy ocaleni sędziowie, a wśród nich mój Ojciec.

Pod koniec wojny, z chwilą odwrotu Niemców, rodzina Isakiewiczów wyjechała do Grybowa, gdzie znalazła się na linii frontu. Podczas bombardowania miasta Ojciec został ranny i leczył się w szpitalu w Nowym Sączu.

Kiedy pojawiła się możliwość osiedlenia na Ziemiach Odzyskanych, Ojciec wraz z rodziną wyjechał do Wołczyna w pow. Kluczbork. W czerwcu 1945 objął stanowisko sędziego w Nowej Soli, gdzie pracował około czterech lat.

Z powodu nasilającej się ingerencji partii na przebieg postępowania sądowego, a zwłaszcza działalności nasyłanych przez PZPR "prokuratorów" z awansu społecznego, Ojciec przeniósł się do Głogowa, gdzie objął kancelarię rejenta. Z powodu stanu zdrowia przeszedł po kilku latach na emeryturę.

Zmarł 23 kwietnia 1959 r. we Wrocławiu, i tam został pochowany.

---

[2] Zapewne pomyłka. Od maja 1926 r. Komisarzem Rządowym miasta, a następnie jego burmistrzem, aż do roku 1937 był Stanisław Michałowski. Sędzia Józef Isakiewicz pełnił funkcję Komisarza Rządowego Czortkowa z ramienia władz polskich (stanowisko burmistrza - vacat) w latach 1924 - 1926. Był również przewodniczącym Rady Szkolnej Miejscowej. (Przyp. red.).

B. Zofii **OSTOJA-OSTASZEWSKIEJ** (Londyn), córki sędziego Franciszka Schäfernakera[3].

Ojciec urodził się w Stryju, tu wychowywał i pobierał nauki. Ukończył gimnazjum klasyczne (z łaciną i greką). Był uczniem bardzo zdolnym (wielokierunkowo) i pracowitym, a nawet uznanym korepetytorem.

Mając 18 lat wstąpił do Legionów. Z tego okresu pozostała mu na całe życie choroba ścianek nosowych, na skutek zatrucia gazem używanym przez Niemców w czasie I wojny światowej.

Po wojnie rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu we Lwowie. "Niezawisłość sędziowska" była Mu bliska i stąd wybór zawodu.

Praktykę i aplikację odbył także w Stryju. Pierwszą posadę sędziego otrzymał w 1927 roku w Medenicach, bardzo starym miasteczku w pobliżu Drohobycza. W 1929 roku przeniósł się do Sambora, gdzie pełnił funkcję sędziego grodzkiego. Jesienią 1934 r. objął stanowisko sędziego okręgowego w Czortkowie, które piastował do 17 września 1939 r. Prowadził Wydział Karny.

Wyroki wydawane przez Ojca były cenione i żaden nie został zmieniony, nawet apelowany do wyższych instancji. Nie podpisał żadnego wyroku śmierci, w imię zasady "Bóg daje życie i Bóg je odbiera". Starał się zrozumieć każdego człowieka i pojąć intencje drugiej osoby. Był człowiekiem prawym, oddanym Bogu i ojczyźnie, kochającym rodzinę, szanującym każdego człowieka.

Cenił pracę społeczną. Jako prezes Towarzystwa Szkoły Ludowej założył Gimnazjum Kupieckie. Myślą przewodnią było wychowanie fachowców, którzy mogliby przejąć handel w polskie ręce.

Polski w 1939 roku nie opuścił. Nie czuł się zagrożony - ale stało się inaczej! Już następnego dnia po wkroczeniu wojsk sowieckich został aresztowany o godzinie 6-ej rano i osadzony w więziennej izolatce. Perfidnie nękany doprowadzony został do szału; powybijał szyby, zdemolował celę. Wyprowadzono Go z niej w kaftanie bezpieczeństwa i osadzono na cały dzień w wodzie sięgającej po pas. Po tej karze wywieziono do Rosji i dołączono (chyba w Charkowie) do grupy zawodowych oficerów. Był porucznikiem rezerwy w pospolitym ruszeniu (tę kategorię otrzymał z powodu stanu zdrowia).

W wigilijny wieczór 1939 roku został cudem oddzielony od wojskowych wraz z grupą cywilnych osób. Odsyłany z więzienia do więzienia, przesłuchiwany z powodu swojej działalności zawodowej, został osta-

[3] Tu podano poprawną pisownię nazwiska (Przyp. red.).

tecznie deportowany na daleką Północ, do Komi. Pracował przy wyrębie lasów.

Po wielu chorobach i stałym spadku sił, został zwolniony na podstawie “amnestii” dla Polaków z lipca 1941 r.

Dzięki otrzymanemu wcześniej adresowi z Polski od ostatniej naszej pomocy domowej, Ojciec znał miejsce pobytu rodziny deportowanej do Rosji w kwietniu 1940 r. Dojechał do Semipałatyńska i połączył się z nami.

Po ostrej zimie wyruszył do miejscowości Żugowoje, gdzie wstąpił w szeregi tworzącej się Armii Polskiej pod dowództwem gen. Andersa. Rosję opuścił tzw. pierwszym transportem. Otrzymał przydział do żandarmerii Szkoły Junaków w Bowbarze (Palestyna), gdzie przebył całą wojnę.

Dopiero w latach 1946/1947 przyjechał do Londynu, już poważnie chory na serce. Po kilku zawałach, zmarł w szpitalu londyńskim St. Mary’s 2 listopada 1954 roku, mając zaledwie 57 lat. Pochowany został na starym cmentarzu “Old Brompton”.

c. d. n.

WŚRÓD WYDAWNICTW

Ukazała się książka Władysława i Ewy SIEMASZKO pt. “Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na ludności polskiej Wołynia 1939-1945”, Wyd. “von borowiecky”, W-wa 2000. Stron 1440.

Monumentalna praca o ludobójstwie ukraińskim na Wołyniu w okresie II wojny św.(...) Już nikt - z wyjątkiem notorycznych falsyfikatorów - nie będzie mieć cienia wątpliwości co do tego, kto interesujące nas ludobójstwo “zaczął”. (Z przedmowy prof. dr R. Szawłowskiego).

Irena Kotowicz
Warszawa

Tajne nauczanie II (u Dominikanów) w Czortkowie Cz. III

W jaki sposób powstał zaczątek "Biblioteki TN II" dowiemy się z relacji Janiny Sawickiej:

W zespole dominikańskim mieliśmy duże kłopoty z podręcznikami szkolnymi. Było ich za mało i nauka początkowo kulała. Tylko przypadek sprawił, że sytuacja uległa znacznej poprawie.

Pewnego dnia przyszło do mnie kilku uczniów bardzo poruszonych odkryciem, że w niezabezpieczonym bazarowym pomieszczeniu (w centrum Rynku) leżą w wielkim nieładzie stosy książek[4]*. Magazynu nikt nie pilnował, a przy zachowaniu pewnych ostrożności można było część tych książek wynieść. Byłam tą wiadomością bardzo podniecona, podobnie jak moi uczniowie.*

Upewniwszy się, że ryzyko jest niewielkie, zorganizowałam kilka ekip uczniów. Jedna z nich stanowiła obstawę i czuwała nad bezpieczeństwem całej akcji. Młodzież otrzymała szczegółowe instrukcje jakie książki ma wybierać. Oczywiście w pierwszej kolejności podręczniki szkolne do gimnazjum i liceum oraz klasyczną literaturę piękną, zwłaszcza wieszczów narodowych i czołowych pisarzy. W dalszej kolejności pomoce naukowe: atlasy, słowniki, poradniki, wreszcie młodzieżową beletrystykę.

Książki te znoszono do mnie, ponieważ dom moich rodziców posiadał obszerny strych. Ojciec szybko zainstalował na nim prowizoryczne regały, które pomieściły naszą zdobycz. I taki był właśnie początek biblioteki.

Jak należy przypuszczać, biblioteka z czasem powiększyła się o książki dostarczane przez uczniów oraz inne osoby. Pochodziły zapewne z różnych bibliotek czortkowskich, które jeszcze podczas okupacji sowieckiej zostały zlikwidowane, a znaczna ilość książek miała zostać zniszczona. Udało się młodzieży polskiej trochę tych książek uratować, jak informuje o tym odnośny fragment wspomnień naszego gimnazjalnego kolegi - Janka Dobruckiego (mieszkającego obecnie w Kanadzie). Pisze on:

Dostałem pracę w nowozorganizowanej przez sowietów Bibliotece Miejskiej, która powstała z kilku mniejszych bibliotek w mieście, bowiem

[4] Były to książki z prywatnych księgozbiorów inteligencji żydowskiej oraz księgarni, po zamknięciu ich właścicieli w getcie. (Przyp. red.).

prawie każda przedwojenna organizacja społeczna posiadała własną bibliotekę. Tak więc przywożono tu ciężarówkami książki z gimnazjum polskiego i ukraińskiego, szkól powszechnych - polskich, ukraińskiej, żydowskiej, z biblioteki kolejowej, wojskowej, "Sokoła", TSL oraz wielu bibliotek prywatnych i księgarni.

Bardzo często żołnierze sowieccy wyrzucali z samochodu pełne naręcza książek wprost na trawnik przed budynkiem. Wnosiliśmy je do środka, aby nocna mgła i poranna rosa nie opadały na nie. Potem czekała nas żmudna praca segregowania i katalogowania. Jakie piękne książki tam były! (Niektóre, te z prywatnych domowych zbiorów, oprawione były w skórę). Dzieła naszych wieszczów, albumy i atlasy, powieści współczesne. Niektóre książki pisane były gotykiem, lub w języku jidysz i ukraińskim.

Wkrótce zabrakło regałów i mniej wartościowe książki musiały czekać na podłodze, aż przyjdą dalsze meble. Niektóre, rzadkie egzemplarze wykradaliśmy z moim przyjacielem Stasiem Muszyńskim i zabieraliśmy je do domu. Nie umiem dziś tego zdefiniować: czy było to przewidywanie ich dalszego losu, czy po prostu książki te bardzo nam się podobały. Dość, że wykradaliśmy je codziennie, jedną lub dwie, zależnie od wielkości.

I dobrze zrobiliśmy! Wkrótce bowiem otrzymaliśmy długie wykazy książek, które mają być z katalogu wykreślone i powiązane w paczki oczekiwać na ciężarowy samochód NKWD. Była to kategoria książek "wroga ustrojowi komunistycznemu" i musiały zostać spalone.

W międzyczasie mieliśmy już zapisanych do biblioteki wielu zaufanych Polaków, którym zdradziliśmy to zarządzenie. Oni przynosili nam jakieś bezwartościowe pozycje, a do domu zabierali powieści historyczne, polską poezję, wspomnienia z I wojny światowej i wiele innych cennych książek, które wykreślaliśmy z katalogu. Była to może drobna, ale jedyna "akcja konspiracyjna" na terenie Biblioteki Miejskiej, która dawała nam ogromne zadowolenie.

Oprócz mnie i mego przyjaciela, pracowali w bibliotece jeszcze dwaj mili panowie, Izraelici: Sternberg i Oberländer - znani w Czortkowie właściciele księgarni. Mając do nich zaufanie, zdradziliśmy im naszą akcję. Mogli więc i oni uratować wiele cennych książek. Wszystkie pozostałe - w j. jidysz, niemieckim i nie tylko - poszły na zagładę. Natomiast wiele książek w j. francuskim powróciło "naszą drogą" do prawowitych właścicieli. Miejska Biblioteka zalana została następnie książkami w j. rosyjskim, głównie o tematyce politycznej i propagandowej.

Dla podkreślenia znaczenia własnej biblioteki TN, Janina Sawicka zorganizowała "oficjalne" jej otwarcie, na którym przedstawiła sprawozdanie informujące o zawartości księgozbioru oraz regulamin obowiązujący przyszłych użytkowników. Ze sprawozdania wynika, że biblioteka

obejmowała 5 działów. Np. dział beletrystyki młodzieżowej posiadał 170 książek; bogato reprezentowanymi autorami byli Kraszewski i Sienkiewicz. Dział literatury polskiej zawierał 116 utworów; obejmował pisarzy polskich i obcych, były również podręczniki do nauki literatury.

Regulamin biblioteczny wprowadzał składki miesięczne, przeznaczone na zakup nowych książek. Wpisowe wynosiło dwa, a składka 3 ruble. Ustalał też podział korzystających z biblioteki na imienne grupy, z których każda miała własny grafik (dni i godziny wypożyczania książek). Określony był także termin, w jakim książka powinna wrócić do biblioteki oraz sposób wyrównania straty w przypadku zniszczenia lub zagubienia książki. Nazwiska uczniów wpisywane były do grafiku skrótami. Niektóre z nich, (należące do moich młodszych kolegów), mogłam bez trudu rozszyfrować, np.: Ćwiąkała, Delijewska, Gałęzowska, Kruczkowska, Ostrowski, Pokryszko, Rembocha, Rut i in.

Do oficjalnego pisma PAN Oddział Kraków, przesłanego 12.10.1977 r. do o. Urbana Szeremeta z prośbą o przysłanie posiadanych materiałów i przedstawienie pracy w zespole dominikańskim TN, dołączono kwestionariusz dla nauczycieli zespołu. W oparciu o ten wzór Janina Sawicka opracowała własną wersję kwestionariusza dla nauczycieli i dla uczniów, które poprzedziła następującym wstępem:

W związku z inicjatywą niektórych nauczycieli i uczniów zespołu dominikańskiego TN, by utrwalić w formie zapisu historycznego dzieje tajnego nauczania w Okręgu czortkowskim, prosimy serdecznie o nadesłanie możliwie jak najbardziej szczegółowych informacji dotyczących tej pracy: wszystkie przeżycia osobiste i pośrednio związane z Pana(i) udziałem w TN. Materiały te umożliwią wydanie publikacji - przyczynku do tragicznego okresu naszej historii, który równocześnie tak chlubnie zapisał się w niej ofiarnym patriotyzmem większości Polaków.

Dla ułatwienia załączam do wypełnienia kwestionariusz, ale równocześnie proszę o inne jeszcze informacje, oraz szczegółowe opisy wydarzeń związanych z pracą, uczniami i kolegami, z którymi Pan(i) kontaktował się. Brakuje nam bowiem do opracowania wielu nazwisk osób uczących w II zespole, szczególnie tych, którzy nie będąc zawodowymi pedagogami, pełnili funkcje nauczycieli TN. (...) byłoby bardzo wskazane (....) by znalazło się w tej publikacji jak najwięcej wspomnień nauczycieli i uczniów. Nie musimy wyjaśniać, jak wielkie znaczenie będzie miała ta publikacja dla dziejów naszego miasta i przyszłych pokoleń - dlatego wierzymy, że Pan(i) zechce nam pomóc.

Niestety, odręczna notatka Autorki (bez daty) na tym kwestionariuszu informuje: *Nie wysłałam do nikogo.*

Powodu zaniechania nie podano. Można jedynie domniemywać, że zaplanowana praca przerosła możliwości jednego człowieka a pomocni-

ków najwidoczniej zabrakło, lub może z jakichś względów o nich nie zabiegano, albo zadecydowały inne jeszcze okoliczności, np. stan zdrowia.

Od tego czasu minęły 23 lata. Jeszcze 15-10 lat wstecz można było przynajmniej część tych kwestionariuszy wypełnić. Ale nikt tego nie zrobił, a dziś jest już na to za późno.

Od Pani Marii Moroz otrzymałam po śmierci Janiny Sawickiej teczkę z notatkami dotyczącymi tajnego nauczania w zespole dominikańskim z prośbą "aby nie zginęła w niepamięci i ta część historii naszego ukochanego miasta". Może udało mi się trochę dla tej pamięci uratować.

Gdyby żyjący jeszcze uczniowie dominikańskiego zespołu TN odpowiedzieli na mój apel (zamieszczony w 45 numerze "Głosów", a rozpowszechniany znacznie wcześniej poprzez indywidualne kontakty), może otrzymałabym trochę mniej znanego a interesującego materiału, jaki ożywiłby i uzupełnił przedstawione fakty. Apelowi towarzyszy jednak milczenie. To doprawdy bardzo przykry sygnał.

W tej sytuacji pozostaje mi jedynie przedstawić biogramy osób, do których znajdę materiał w "spuściźnie" śp. Janiny Sawickiej, ewentualnie dorzucić jeszcze jakieś drobne informacje dotyczące poszczególnych osób lub wydarzeń.

Przedstawiony wcześniej okupacyjny biogram **Marii Moroz** należy uzupełnić o okres przedwojenny i powojenny.

Urodziła się 25 marca 1916 r. w Czortkowie, w rodzinie wielodzietnej i bardzo patriotycznej. Wpływ domu rodzinnego na charakter dzieci i całe ich późniejsze życie był ogromny. *Bóg i Ojczyzna* - jak pisze - *to były podstawowe filary tego wychowania, z położeniem nacisku na stosunek do drugiego człowieka.*

W Czortkowie ukończyła Seminarium Nauczycielskie i podjęła pracę w wiejskie szkole. W czasie okupacji sowieckiej pracowała w niepełnej szkole średniej (9-latce) w Rosochaczu (w pobliżu Czortkowa). Po wkroczeniu Niemców w 1941 roku, gdy po wsiach rozpoczęło się mordowanie Polaków przez ukraińskich nacjonalistów, podjęła w Czortkowie pracę kreślarki w niemieckim urzędzie ziemskim (Landwirtschaft). Po powtórnym zajęciu miasta przez sowietów pracowała jako technik w Dyrekcji Lasów aż do października 1945 r. tj. wysiedlania Polaków z tamtej ziemi.

Zamieszkała w Miejscu Piastowym (pow. Krosno), gdzie pracowała jako polonistka w średniej szkole księży Michalitów, którzy prowadzili tu duży Zakład Wychowawczy[5]. Prócz wychowanków kształciła się w nim również okoliczna młodzież.

[5] Ks. Eustachy Jełowicki, zasłużony proboszcz parafii w Trembowli i budowniczy okazałej bazylikowej świątyni w tym mieście (w latach 20-tych), z osobistego rodowego majątku przekazał w testamencie Zgromadzeniu św. Michała Archanioła kilka-

W 1950 roku Zakład księżom odebrano, szkołę upaństwowiono, a Marię Moroz usunięto z funkcji nauczycielki jako "reakcjonistkę" (rodzeństwo było w zakonach). Pozostawiono Ją jednak na stanowisku sekretarki.

Do pracy w szkole powróciła w 1957 r. Wobec zajętego już etatu polonistki zaproponowano Jej nauczanie j. rosyjskiego. Wówczas ukończyła zaocznie wyższe studia filologii rosyjskiej. Po przejściu na emeryturę w 1978 r. uczyła jeszcze tego języka w Małym Seminarium Duchownym księży Michalitów.

Wspominając okres tajnego nauczania w Czortkowie, Maria Moroz pisze: *W 1945 roku pierwsza grupa moich uczniów zdała egzamin maturalny. Nie pamiętam gdzie odbył się egzamin pisemny, ustny odbył się w mieszkaniu Stanisławy Gałęzowskiej*[6]*. W skład Komisji Egzaminacyjnej wchodzili: przewodniczący - prof. F. Wyśmierski, członkowie: Józefa Kmiecikówna i o. Urban Szeremet. Egzaminowałam ja.*

Okres nauczania na tajnych kompletach, to najbardziej satysfakcjonujący mnie okres mojej pracy pedagogicznej. "Okupacyjna" młodzież była dzielna, pracowita i pełna ideałów, co napawało mnie dumą.

c. d. n.

Eugeniusz Jaworski
Żagań

Jeszcze garść drobnych okupacyjnych wspomnień (o ludziach i wydarzeniach)

Uzbierałem trochę wspomnień, które pragnąłbym utrwalić dla przyszłych czytelników. Przedstawiam kilka uzupełniających informacji o działalności zbaraskich komendantów AK - Józefa Kraśnickiego "Godlewskiego" i Wiktora Rzeźnika "Giermka".

Kiedy wywiad AK doniósł, że obu naszym wsiom - Kretowcom i Hrycowcom - dwukrotnie groziła zagłada, "Godlewski" i "Giermek" postanowili dozbroić nasza placówkę.

Do małej Stryjówki (zwanej inaczej Za Stawem) zwożono broń wykradaną z niemieckich transportów kolejowych, idących z Tarnopola do Kamieńca Podolskiego. Wykradaniem broni zajmowali się pracownicy

---

dziesiąt tysięcy dolarów amerykańskich, co pozwoliło na rozbudowanie Zakładu Wychowawczego w Miejscu Piastowym. (Przyp. red.).

[6] Od kol. Stefanii Horodyskiej-Madej uzyskałam wiarygodną informację, że wspomniany egzamin dojrzałości odbył się w jej domu przy ul. Średniej 30. Ona też udostępniła (zamieszczone w poprzednim numerze "Głosów") fotografie zrobione po tym egzaminie. (Przyp. red.).

kolejowi w Maksymówce. Jednym z nich był mój wuj, Szczepan Semeńczuk z Hulaj Pola. Był pracownikiem kolei przed i w czasie wojny.

Do przewiezienia tej broni z Maksymówki do Kretowiec zaangażowano mego kolegę, wówczas 13-letniego Izydora Budzynę, który dziś mieszka w Żarach. Kraśnicki i Rzeźnik, uzbrojeni w krótką broń, wybrali się z Izydorem furmanką. Na moście w Maksymówce stał wojskowy posterunek. Całą dobę pełnili tu wartę ukraiński policjant i niemiecki żołnierz, który rewidował przejeżdżające w obie strony furmanki.

Kiedy Izydor zbliżał się do mostu, obaj komendanci wysiedli i poszli pieszo drogą na skróty omijając posterunek, a kolega przejechał przez most pustą furmanką bez żadnych trudności. Za mostem AK-owcy ponownie wsiedli na wóz i zajechali w Stryjówce na podwórze jednego z gospodarzy. “Było to czwarte gospodarstwo po prawej stronie drogi” - wspomina Izydor Budzyna. Tam młodocianego woźnicę zabrała gospodyni do chaty, przygotowała mu posiłek, ale sama co chwilę podchodziła niespokojnie do okna. Co ładowano na wóz kolega nie widział. Gdy odjeżdżali, na wierzchu leżał worek mąki, ospy i kilka snopków słomy. Wsiedli we trójkę na wóz i ruszyli w drogę powrotną.

Przed mostem scena się powtórzyła. Obaj mężczyźni wysiedli i ominęli posterunek, obserwując bacznie co dzieje się na moście. Kiedy Budzyna zbliżał się do rzeki, wyprzedziły go dwie furmanki, które bardzo szczegółowo sprawdzano. Ukraiński policjant trzymał konie za uzdę, a Niemiec przeprowadzał rewizję. Gdy Izydor wjechał na most, Ukrainiec chwycił konie za wędzidło, a Niemiec zabrał chłopcu bat z ręki. Powierzchownie sprawdził wóz, uderzył batem konie, a potem także Izydora. Konie smagnięte batem szarpnęły i wóz gwałtownie ruszył. Za Stryjówką AK-owcy ponownie wsiedli na furmankę, pytając co zaszło na moście? Chłopak pokazał tylko krwawą pręgę na szyi.

Wróciwszy szczęśliwie do Kretowiec, zajechali na podwórko plebanii ks. Kazimierza Klee, gdzie “towar” wyładowano. Izydor własnym oczom nie wierzył, gdy zobaczył trzy skrzynie broni z napisem “Hungary”.

□. . . .□. . .□

Lata, jakie upłynęły od czasu opuszczenia przez nas ojcowizny, to czas już odległy. Wypełniony był znojnym wysiłkiem zagospodarowywania nowych miejsc osiedlenia na zachodzie Polski, terenu bardzo zniszczonego i obrabowanego przez stacjonujących tu niemal w każdej miejscowości żołnierzy sowieckich. Spotkaliśmy ich tu w dużych poniemieckich gospodarstwach, w takich miejscowościach: Górka, Grabik, Brzostów, Pietrzyków, Grotów i innych.

Gdy minął na Kresach Wschodnich rok 1945, rok zakończenia wojny, zaświtała nadzieja na powrót do spokojnego życia. Tymczasem dla

Polaków był to tragiczny rok wysiedlania z rodzinnych gniazd. Jedni pozostawiali tam tylko popiół po spalonym dobytku, inni to wszystko - co zbudowali przez lata ich dziadowie i ojcowie.

Już na wiosnę 1945 roku rozchodziły się wiadomości, że musimy opuścić tę ziemię i wyjechać, choć wojna jeszcze trwała i nasi ojcowie walczyli z Niemcami u boku sowieckich "sprzymierzeńców". Wielu mieszkańców nie chciało tym wieściom dać wiary, aż stały się faktem.

W obu naszych wsiach ukryło się przed banderowcami wiele rodzin z okolicy: z Dobromirki, Łubianek Wyższych i Niższych, z Nowego Rogowca, Czahar i Koszlaków, a także z Wołynia. W okresie dużego zagrożenia nad bezpieczeństwem ludzi czuwała dobrze zorganizowana placówka AK. Dziś wiemy, że była to II Kompania AK Obwodu Zbaraż.

Stan pogotowia trwał od 1942 roku do chwili mobilizacji Polaków do armii, tj. drugiej połowy marca 1944 roku. Po wyjeździe zmobilizowanych do Sum, w Kretowcach i Hrycowcach zorganizowano dwie grupy wartowniczo-obronne, złożone z młodzieży w wieku 15 - 17 lat oraz osób starszych, których z różnych powodów do wojska nie wzięto.

Napadu banderowców spodziewaliśmy się stale. Dziś już wiemy, że zamierzali nasze wsie wymordować w dwóch terminach: 9 marca 1944 r. i na przełomie czerwca - lipca 1945 r. Stwierdził to wywiad AK-owski, a po naszym wysiedleniu głośno mówiło się w ukraińskich wsiach - Łubiankach i Stryjówce - o tym, jaki los miał nas spotkać.

Napadu w pierwszym terminie nie zrealizowano z powodu zajęcia Zbaraża przez desant sowiecki, który w nocy z 4 na 5 marca 1944 r. przedarł się przez linię frontu na Zbruczu, co zaskoczyło Niemców i Ukraińców. Czołgi zajęły pozycję wokół miasta, a piechota do wieczora oczyszczała miasto z Niemców i ukraińskiej policji. Raniutko można było zobaczyć leżące na ulicach trupy.

Przed tragedią w drugim terminie uratował nas inny zbieg okoliczności. Dwa ugrupowania upowców zbierało swe siły: jedno w lasach pod Łubiankami, drugie pod Hałuszczyńcami. Na pierwsze ugrupowanie natknął się oddział wojsk sowieckich, powracający z obławy koło Koszlak i po kilkugodzinnej walce upowców rozbili. Ich niedobitki uciekły w różne strony. Następnego dnia przechwyciły ich nasze posterunki.

Wczesnym rankiem zauważono na przedpolach wsi trzech zbliżających się ludzi. Ponieważ byli bez broni, pozwolono im podejść bliżej, do gospodarstwa Kasi Kominkowej. Tu ich zatrzymano i odprowadzono pod eskortą do "sielrady", gdzie zostali przesłuchani. Potwierdziły się wcześniejsze wiadomości o planowanym na nas napadzie. Zatrzymani zeznali, że mieli brać udział w podpaleniu dwóch wsi, ale nie znali ich nazw. Byli bardzo brudni, głodni i prosili o chleb i mleko.

Upowcy dobrze wiedzieli, że jesteśmy czujni i mamy dużo broni, dlatego zbierali do napadu większe siły. Były przypadki chwytania przez

naszych wartowników ukraińskich zwiadowców, sprawdzających czujność Polaków. Na skraju Hrycowiec zatrzymano raz dwóch takich, którzy tłumaczyli się, że "zbłudyły". Pochodzili ze Stryjówki i wysłani byli zapewne przez sotennego Jaremczuka, który organizował tam SKW (samoobronni kuszczowi widdiły).

W tak napiętej sytuacji i ciężkich warunkach bytowych doczekaliśmy się wysiedlenia, a właściwie ucieczki.

Tuż przed zakończeniem wojny powróciło do wsi z frontu kilkunastu mężczyzn. Tłumaczyli nam, że musimy tu zostać, bo to nasza ojcowizna, a oni przecież walczyli o nią na froncie. Ale pod koniec września przybył już na stację w Maksymówce transport Ukraińców wysiedlonych z Polski, z okolic Przemyśla i Jarosławia. Władze sowieckie poinformowały ich, że Polacy z Kretowiec i Hrycowiec wyjeżdżają już na stację do Zbaraża (i do Polski), wobec czego mogą zajmować ich domy i gospodarstwa. Kilkunastu Łemków wybrało się do nas dla sprawdzenia tej wiadomości.

Zgłosili się do "sielrady", której "hołową" był Szczepan Markowski, sekretarzem Jan Białowąs, a plutonem wartowniczo-obronnym dowodził już wtedy sowiecki "starszyna" Andrej Ryżuk. Tu przybysze zostali poinformowani - zgodnie z prawdą - że część mieszkańców już wyjeżdża do Zbaraża, ale są to wyłącznie osoby pozamiejscowe, miejscowi natomiast jeszcze się nie zdecydowali.

Prawie codziennie mieliśmy we wsi przedstawiciela "rajkomu", który miał dopilnować, żebyśmy niczego przed wyjazdem celowo nie zniszczyli. Miał tego doglądać także Andrej Ryżuk.

Tymczasem "hołowa" Markowski otrzymał od władz polecenie wysłania do Maksymówki furmanek i zwiezienia do naszych wiosek bagaży przesiedlonych Ukraińców. Rozpoczęło się więc na siłę zasiedlanie naszych domów. W jednym mieszkaniu znalazły się dwie rodziny: miejscowa - polska i przybyła - ukraińska. Było to dla nas nie tylko nie do przyjęcia, ale nawet niebezpieczne, ponieważ przybyli byli wrogo nastawieni. Zaczęło się więc natychmiastowe pośpieszne pakowanie i wyjazd Polaków na stację do Zbaraża.

CZYTELNICY PISZĄ:

W 45 numerze naszego czasopisma ukazał się anons o wspólnym opracowaniu przez 10 autorów (A Gołębiowski, J. Laskowska-Orszulak, E. Łańcucki, Z. Orszulak, E. Pietrzyszyn, E. Popiel-Barczyk, J. Tysnarzewska-Górska, T. Wisiecki, W. Wyrozumski, W. Barczyk) wspomnień pt.: "Skałat czasu pokoju i wojny. Miasto, ludzie obyczaje i wydarzenia

widziane oczyma ówczesnych nastolatków". Zeszyt Specjalny "Głosów Podolan" nr 1. Warszawa 2000.

Zgodnie z prośbą autorów, do redakcji wpłynęło już wiele listów z opiniami, uwagami i wiadomościami rozszerzającymi wspomnienia z tamtych lat.

Poniżej kilka fragmentów opinii na temat tej książki, dla zachęcenia Kresowian także z innych miast, do pisania podobnych opracowań, aby przybliżyć przez nie tamte tak drogie nam wspomnienia.

Redakcja

Tadeusz Głowiszyn - Krotoszyn

Przyznaję szczerze, że zostałem zaskoczony tak wspaniałą pamiątkową książką. Chciałem podziękować zespołowi redakcyjnemu za duży wkład pracy i szczegółowe opisy. Naprawdę jest to coś wspaniałego i będzie dla mnie pamiątką.

Barbara Strzałkowska-Delebińska - Gliwice

Wydawnictwo uznaję jako bardzo ciekawą i wartościową pamiątkę.

Krystyna Balicka - Kraków

Serdecznie dziękuję za książkę. Jest wspaniała. Jestem bardzo zadowolona, że mogłam ją otrzymać i przypomnieć sobie czasy naszej młodości.

Mieczysław Hawlicki - Wrocław

Serdeczne dzięki za bezcenną książkę mojego miasta, gdzie przyszedłem na świat i mieszkałem do 1935 roku. Książka sprawiła mi ogromną radość i jest "białym krukiem" szczególnie dla nas gdy nieraz powracamy do naszych przeżyć z dzieciństwa.

Bardzo dobrze się złożyło, że grono Skałatczan podjęło inicjatywę opisania tych wielu wspomnień. W książce tej jest dużo szczegółów i podziwiam, że zdołano je zebrać i to po tylu latach.

Z wielką przyjemnością przeczytałem tę książkę.

Tadeusz Grubman - Gdynia

Autorom opracowania należy się podziękowanie, że potrafili z pamięci i notatek odtworzyć nasze korzenie. Pozostał po tych czasach sentyment i zaduma. Ten właśnie przedwojenny Skałat wielokrotnie widziałem we śnie. Opracowanie "Skałatu" ma dla mnie dodatkowy aspekt wobec moich synów. Synowie nie dali wiary w opowiadanie o miejscu urodzenia i prymitywnych tam warunkach życia.

U schyłku życia myślałem o spisaniu moich życiowych wspomnień. Część pierwszą mam już w opracowaniu "Skałat".

Zofia Hawlicka - Wrocław

Książkę wspomnień o Skałacie przeczytałam z wielkim zainteresowaniem i wielkim wzruszeniem. Pootwierały mi się klepki w pamięci od wielu lat zamknięte, choć bardzo często wracam do moich dziecinnych przeżyć, ale już wielu szczegółów nie mogłam odtworzyć. I właśnie takiej książki było mi trzeba.

Chwała Wam za to! Wszystkim autorom pięknie dziękuję za to opracowanie.

Łucja Matusów-Winiowska - Gliwice

Czytałam z przyjemnością. Jak miłe są wspomnienia z lat młodzieńczych. Byłam koleżanką Ewy Popiel i Jadzi Laskowskiej.

Pomimo, że czasy były bardzo ciężkie, mile je wspominam.

Irena Maciejczyk - Gdańsk

Dziękuję za umożliwienie mi przeżycia "tamtych czasów" jeszcze raz.

Władysław Bochenek - Krotoszyn

Treść książki wywarła na mnie wielkie wrażenie. Pozwoliła dużo przypomnieć sobie i jak gdyby jeszcze raz przeżyć te lata - lata czasu i dobrego, szczęśliwego i czasu nieprzyjemnego, wręcz niebezpiecznego.

W imieniu horodniczan wyrażam wdzięczność za dostarczenie nam tylu wspomnień, w naszym odczuciu w dużym stopniu i naszym Skałacie.

Naszym Miłym Czytelnikom

serdecznie dziękuję za pamięć oraz życzenia z okazji Wielkiej Nocy -
w imieniu własnym i Zespołu Redakcyjnego

Zofia Różańska
Olsztyn

Pamięci
Przyjaciółki lat młodzieńczych -
śp. Ewy Popiel-Barczykowej

Podole -
Ziemio moja rodzinna
wspomnieniem dziecka pisana,
ja wiem, żeś Ty teraz inna
lecz w mej pamięci ta sama.
Jarami głęboko pocięta,
co na myśl przywodzą blizny
jakbyś kazała pamiętać,
że stałaś na straży Ojczyzny.
Most przerzucony nad jarem,
a w dole rzeczka wąziutka,
na szmaragdowej trawie
bielą się lniane płótna.
Pamiętam lasy grabowe
co kwieciem śnieżyczek bieleją,
gdy w cieple dni marcowe
obfite śniegi topnieją.
Szumią potężne dęby -
zda się - niebios przedsionek,
a nowo powstałe wyręby
krwawią czerwienią poziomek.
Poziomek, jak na Podolu
nigdzie już nie znajdziecie.
Ich smak, zapach i kolor....
Nie mają równych na świecie.
I lata pamiętam gorące,
pszenicy złociste łany
łagodnie falujące,
jak morze szeroko rozlane.
Zagony kukurydzy,
wśród niej różowe maki,
dzikie grusze na miedzy
gdzie gniazda wiją ptaki.
Twoją urodę i piękno
pragnę zachować w pamięci,
chociaż obrazy bledną
i łza się w oku kręci.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Janina ŁUCZYŃSKA (Nusia Martiukówna)

urodz. 7 lipca 1921 r. w Oleszowie (woj. stanisławowskie). Nasza Koleżanka z Gimnazjum i liceum im. J. Słowackiego, Druhna Żeńskiej Drużyny Harcerskiej im. Emilii Szczanieckiej w Czortkowie (w zastępie "Pszczółek").

W obawie przed wywózką w głąb ZSRR, rodzina przeniosła się w 1940 roku z Czortkowa do Monasterzysk. Tu podczas okupacji sowieckiej Janina pracowała w szkole, a w czasie okupacji niemieckiej - w miejscowej Fabryce Tytoniu.

We wrześniu 1943 r. zawarła związek małżeński z Kazimierzem Łuczyńskim. Późną wiosną 1944 r. opuściła wraz z rodziną Podole i przeniosła się na zachód Kraju - do Ćmielowa. Po wojnie mieszkała w Krakowie, w Kątach Wrocławskich, potem w Głownie, gdzie zmarła 17 grudnia 2000 r. w szpitalu. Pogrzebana na miejscowym Starym Cmentarzu.

Żegnaj Nusiu!

Córkom Zmarłej i Wnuczce Karolinie przekazujemy serdeczne wyrazy współczucia.

Czortkowianie

Śp. Helena ŻMUD (Lena Wierzbicka)

urodz. w 1923 r. Na Podolu. Nasza Koleżanka z Gimnazjum i Liceum im. J. Słowackiego w Czortkowie. Harcerka. Członek Szarych Szeregów. Żołnierz AK Inspektoratu Czortków, ps. "Pokrzywa". Doktor nauk ekonomicznych.

Zmarła 13 marca 2001 r. w Zabrzu. Pogrzebana 16 marca na miejscowym cmentarzu, odprowadzona przez Najbliższych, licznych znajomych i przyjaciół oraz przedstawicieli grona koleżeńskiego.

Żegnaj Leno!

Małżonkowi Zmarłej - Panu Władysławowi Żmudzie, Córce Annie i Siostrze Alinie przekazujemy wyrazy serdecznego współczucia.

Czortkowianie

Wspomnienie o śp. Helenie Wierzbickiej-Żmud

Jeszcze w poprzednim numerze “Głosów Podolan” zamieściliśmy Jej wspomnienia o pracy konspiracyjnej w AK w okresie II wojny światowej; gdy ukazały się w druku - leżała już śmiertelnie chora na oddziale szpitala w Zabrzu.

Byłyśmy z Leną zaprzyjaźnione od czasów przedwojennych: uczęszczałyśmy do tej samej klasy czortkowskiego gimnazjum, należałyśmy do tej samej drużyny harcerskiej, razem rozpoczęłyśmy pracę konspiracyjną w Szarych Szeregach, które poprzedziły powstanie AK na terenie Obszaru Lwowskiego.

Wychowywane przez Harcerstwo w duchu patriotycznym, uważałyśmy służbę Polsce za sprawę pierwszoplanową, a szeroko pojęte samokształcenie za cel, któremu należy poświęcić okres okupacji. Mimo uzyskania w maju 1941 r. świadectwa ukończenia “dziesięciolatki” z polskim językiem nauczania, dającej uprawnienia do rozpoczęcia studiów wyższych, zdobyłyśmy w 1943 roku świadectwo dojrzałości w Tajnym Nauczaniu, w grupie prof. Franciszka Wiśmierskiego.

Po zakończeniu wojny i ciężkich przejściach związanych z aresztowaniem i represjami okresu stalinowskiego, Lena ukończyła zaocznie studia ekonomiczne na Uniwersytecie Śląskim, a w 1967 r. uzyskała tytuł doktora nauk ekonomicznych.

W latach aktywności zawodowej - do 1984 r. pracowała na odpowiedzialnych stanowiskach, m. in. w Chłodniach Kominowych w Gliwicach. Przyjeżdżała wtedy często służbowo do Warszawy i zawsze odwiedzała mnie, aby porozmawiać o współczesności i powspominać szkolną przeszłość. Mimo zmęczenia podróżą i całodziennymi konferencjami, wieczór starała się spędzić w którymś z teatrów.

Wielokrotnie przyjeżdżała na doroczne wrześniowe spotkania Czortkowian u oo. Dominikanów w Warszawie przy ul. Freta. Gdy przeszła na emeryturę i znacznie pogorszył się Jej wzrok, a nadal interesowała się wszystkim co dotyczyło Czortkowa i Podola, relacjonowałam Jej przebieg naszych spotkań listownie lub telefonicznie.

Pracowita i energiczna, o szerokich zainteresowaniach, była osobą bardzo skromną, oddaną całym sercem rodzinie i pracy zawodowej.

Jeszcze w lutym br. rozmawiałam z Leną telefonicznie w sprawie jakiegoś szczegółu z Jej wojennych wspomnień. Była pogodna i dzielna do końca.

Zmarła 13 marca br. pozostawiając w żalu i głębokiej żałobie męża Władysława i mieszkającą stale w Szwecji córkę Hanię, zięcia Jacka oraz wnuczęta - Piotra i Dorotkę, którzy byli dla Niej zawsze źródłem radości i dumy, a którymi nie zdążyła się dość nacieszyć.

Pochowaliśmy Lenę 16 marca na cmentarzu przy parafii św. Józefa w Zabrzu.

Żegnaj Leno! Pozostaniesz na zawsze w naszej pamięci.

W imieniu grona Czortkowian
Danuta Stancel

Marian Biczycki
Katowice

Wspomnienie o śp. profesorze dr. hab. Kazimierzu CZECHOWICZU (1926-1999)

18 października 1999 r. odszedł od nas profesor Kazimierz Czechowicz.

W scenerii pożółkłych brzóz katowickiego cmentarza komunalnego pożegnali szanowanego przedstawiciela świata nauki: Rodzina, JM Rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. dr hab. Tadeusz Sławek, Dziekan Wydz. Biologii i Ochrony Środowiska prof. dr hab. Iwona Szarejko, grono Jego przyjaciół, współpracownicy oraz uczniowie i wychowankowie. Pozostanie w pamięci serdecznej Jego dobroć, życiowa mądrość, głęboka wiedza, talent dydaktyczny.

Chociaż przez większą część życia związany był ze Śląskiem, do końca swoich dni zachował w sercu miłość i tęsknotę za krainą młodości oraz śpiewny kresowy akcent. Można sądzić, że dobrze czuł się na Śląsku - tym regionie Polski, gdzie tak ważne są podstawowe wartości: rodzina, tradycja rzetelnej pracy i poszanowanie dla innych.

Urodził się 28 maja 1926 roku w TARNOPOLU, na płd.-wsch. Kresach II RP. Dom szczęśliwego dzieciństwa ofiarowali Mu Rodzice[7], polscy inteligenci, którzy od pokoleń związani byli z Podolem. Szczególną atmosferę tego domu, sprzyjającą nauce, poszanowaniu wiedzy i rozwijaniu zdolności tworzyła Matka[8] - nauczycielka. Jej też zawdzięcza przekazanie podstawowych wartości życiowych i szczególną filozofię. Dzieciństwo przerwała wojna, stąd naukę kontynuował na tajnych kompletach. Będąc jeszcze niemal dzieckiem, związał się z ruchem oporu w szeregach Armii Krajowej.

Bezpośrednio po wojnie osiadł z Rodzicami w Bytomiu, gdzie ukończył liceum ogólnokształcące. We Wrocławiu uzyskał szerokie przy-

[4] Mieszkali przy ul. Kraszewskiego 35. (Przyp. red.).
[8] Michalina. (Przyp. red.).

rodnicze wykształcenie uniwersyteckie i odnalazł Dziewczynę z rodzinnego Tarnopola - późniejszą żonę Danutę, z którą doczekał się dwóch córek i dwoje wnucząt.

Po studiach podjął pracę we wrocławskiej Akademii Medycznej, gdzie zdobywał kolejne stopnie i tytuły naukowe: w 1962 - doktora nauk przyrodniczych, w 1969 mianowany został docentem w ówczesnym Zakładzie Histologii i Embriologii AM. Swoje zawodowe pasją łączył z pracą we wrocławskich szkołach różnego szczebla.

Zawodowe zainteresowania Profesora koncentrowały się wokół neuroendoktrynologii, zwłaszcza zjawiska neurosekrecji. Nieobce Mu były problemy embriologii eksperymentalnej, klasycznej histologii i anatomii mikroskopowej oraz toksykologii. Z zakresu tych dyscyplin naukowych opublikował ponad 100 oryginalnych prac badawczych, liczne skrypty i podręczniki akademickie. W 1971 r. przeprowadził swój przewód habilitacyjny. Zaangażowany głęboko w liczne badania naukowe, nie szczędził czasu na perfekcyjnie prowadzone zajęcia dydaktyczne; przez kilka lat był Prodziekanem ds. studenckich Wydziału Lekarskiego AM we Wrocławiu.

Jego kolejne rozprawy naukowe były na tyle znaczące, że w 1975 r. poproszono ówczesnego docenta o zorganizowanie Katedry Histologii i Embriologii na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach i objęcie jej kierownictwa. I właśnie tu spełnił się jako naukowiec i nauczyciel. Wkrótce dysponował nie tylko doskonale zorganizowanymi pracowniami i laboratoriami, ale także młodym, prężnym zespołem ludzi, a przede wszystkim zafascynowanymi Nim rzeszami studentów. Starszym imponował wiedzą i życiową mądrością, młodym niespożytą energią i intensywną pracą, której nie zawsze mogli dorównać młodsi o całe pokolenie współpracownicy. Również tutaj był wieloletnim Prodziekanem Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska. W roku 1987 uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego, a wkrótce zwyczajnego.

Jego pozycja zawodowa broni się sama ogromem publikacji. Aktywnie uczestniczył także w życiu licznych gremiów naukowych.

W zawodowych kręgach mówiło się o Nim z szacunkiem i zainteresowaniem. Jego głęboka wiedza i ufność wobec ludzi sprawiały, że przyciągał do siebie zawsze najmłodszych. Wypromował 90 magistrów biologii, 11 doktorów nauk przyrodniczych, życzliwie wspierał tych, którzy sięgali po wyższe stopnie i tytuły naukowe. Był krytycznym a jednocześnie życzliwym recenzentem licznych prac doktorskich i habilitacyjnych.

Był człowiekiem łagodnym i cierpliwym, nawet w najtrudniejszych sytuacjach nie podnosił głosu; człowiekiem skromnym i delikatnym, a przez to niesłychanie ujmującym. Tym, którzy Go spotkali na swej drodze życiowej stawiał wysokie a jednocześnie proste wymagania - oczekiwał zwykłej ludzkiej przyzwoitości i to wystarczyło, aby obdarzał ich

przyjaźnią. Ogromna wiedza, kultura osobista, wysublimowane poczucie humoru i swoista filozofia życiowa były przyczyną, dla której społeczność akademicka postrzegała Go jako Mistrza i Nauczyciela w dawnym stylu.

Jego osiągnięcia zawodowe zostały nagrodzone licznymi odznaczeniami i wyróżnieniami, jednak tylko najbliżsi wiedzieli, że odznaczony był m. in. Złotą Odznaką Honorową "Academia Medica Vratislaviensis", Złotą Odznaką Zasługi dla Uniwersytetu Śląskiego, Brązowym, Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi, Krzyżem Kawalerskim i Oficerskim Odrodzenia Polski czy Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Jego życie wypełniały nie tylko pasje zawodowe. Bliska Mu była szeroko pojęta kultura, sztuka, muzyka, fotografia i fotografika. Uczęszczał na koncerty i sam doskonale grał na skrzypcach. Zgromadził też pokaźny zbiór znaczków pocztowych.

Mimo przejścia w 1966 r. na emeryturę, ciągle aktywnie uczestniczył w życiu Uczelni. Nieco ponad rok temu pod fotografią, którą mi ofiarował napisał: *Pamięć o człowieku jest echem, trzeba by ją jakaś myśl wzbudziła, a wówczas człowiek nadal żyje i przebywa wśród nas.*

Mam nadzieję, że to moje serdeczne wspomnienie pozwoli zatrzymać Go wśród nas.

Uczeń

LISTA OFIARODAWCÓW

Na działalność związaną z wydawaniem biuletynu:

1. Józef Franczyszyn	- Warszawa	50.00 zł
2. Zofia Ostoja-Ostaszewska	- Anglia	20.00 Ł
3. Józef Ruczyński	- Warszawa	11.00 zł
4. Zofia Świątkiewicz	- Wąsosz	30.00 zł

Na kościół w Białobożnicy:

1. Zbigniew Andruchów	- Warszawa	100.oo zł
2. Olga Chwila	- Chałupki	200.00 zł
3. Eugenia Guzik	- Miękinia	50.00 zł
4. Aniela Harwas	- Miękinia	200.00 zł
5. Alina Kisielińska	- Zabrze	20.00 zł
6. Maria Legreć	- Miękinia	50.00 zł
7. Stefania Łuszpak	- Otmuchów	50.00 zł
8. Jadwiga Partyka	- Tarnów	70.00 zł
9. Danuta Stancel	- Warszawa	50.00 zł
10. Maria Świtlińska	- Raciburz	20.00 zł
11. Stefan i Halina		

Wilkoszewscy	- Rogoźno	100.00 zł
12. Mieczysław Wilkoszewski	- Kluczbork	200.00 zł

Na kościół w Skałacie:

1. Ludwika Polonis	- Szczecin	50.00 zł
2. Stanisław Stachów	- Leszno	50.00 zł
3. Maria i Kazimierz Wojtkowie	- Gliwice	100.00 zł

Na kościół w Zbarażu:

1. Władysław Bieniaszewski	Sopot	15.00 zł

Wszystkim ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.

SPIS TREŚCI

Tadeusz CZAJKOWSKI
Pamiętna Wielkanoc....1
Józef ADAMIAK
Wspomnienie o dniu 3 Maja na Podolu w 1939 r....2
Janusz KORZENIOWSKI
Krakowskie wydarzenia 3-cio majowe w 1946 r....3
Władysław KUBÓW
Śledztwo zostało wznowione....5
Tadeusz BŁAŻYŃSKI
Zachodnim szlakiem (przez obozy jenieckie). Cz. III....8
Tadeusz BŁAŻYŃSKI, Jerzy STOSZEK
Sąd Okręgowy II-giej Rzeczypospolitej
w Czortkowie. Cz. III....12
WŚRÓD WYDAWNICTW....17
Irena KOTOWICZ
Tajne nauczanie II (u Dominikanów) w
Czortkowie. Cz. III....18
Eugeniusz JAWORSKI
Jeszcze garść drobnych okupacyjnych wspomnień
(o ludziach i wydarzeniach)....22
CZYTELNICY PISZĄ....25
Zofia RÓŻAŃSKA
Podole - ziemio moja rodzinna....28
Z ŻAŁOBNEJ KARTY....29
Wspomnienie o śp. Helenie Wierzbickiej-Żmud....29
Wspomnienie o śp. prof. dr hab. K. Czechowiczu....31
LISTA OFIARODAWCÓW....33